POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — Dnia 8-go lutego 1947 r — Rok IX. Nr. 6

BANKRUCTWO KOMPROMISU

Polityk, jeśli chce działać publicznie i z poczuciem odpowiedzialności za swe czyny musi posiadać wyraźny pogląd, wytyczający kierunek tej działalności. Im poważniejsza jest odpowiedzialność polityka, tym bardziej pogląd jego musi być przewidujący i konsekwentny w przeprowadzaniu. Błędne założenia mszczą się zawsze na polityku. Jeśli tylko sam za nie pokutuje — jest to jego sprawa prywatna. Jeżeli jednak rachunek za jego błędy płaci naród — sprawa staje się publiczna i obciąża go brzemieniem winy.

Stanisław Mikołajczyk wyłamał się z politycznej linii legalnego Rządu Polskiego i wstąpił na szlak własny, idący równolegle do drogowskazu jałtańskiego. Uważał się za uprawnionego do zerwania z założeniami niepodległościowymi w imię własnego poglądu o potrzebie kompromisu. Widząc, że Anglosasi odstępują Rosji przywództwo w Europie środkowo-wschodniej, liczył, że za cenę przyjaznej lojalności wobec Rosji — uda mu się zapewnić Polsce istotną samodzielność państwową.

Koncepcję swą Mikołajczyk chciał przeprowadzić w momencie nie najlepiej dobranym. Jeśli wierzył w nią — niezależnie od jej błędnego założenia — to powzięcie decyzji na jesieni 1944 zapewniałoby jej więcej pozornych szans powodzenia. Odłożenie decyzji do 1945 r., kiedy cała Polska była w rękach Bieruta pomniejszało jej szanse. Polityk zaś odpowiedzialny jest nie tylko za swe pomysły, lecz i za sposób ich wprowadzania w życie.

Mikołajczyk nie znał Rosji i nie dawał wiary głosom wskazującym na jej niezmienne cele, niezmienne mimo zastąpienia dwugłowego orła — znakiem sierpa i młota. Podejrzewał, że głosy ostrzegawcze są przejawem „swoistego“ urazu.

Przybywał do Warszawy w lipcu 1945 z bagażem nadziei politycznych, i z wiarą w słuszność obranej linii. Nie zważał jednak na to, że właściwa droga do Polski nigdy nie prowadzi przez Moskwę.

Rosja chce mieć zapewnioną całkowitą lojalność Polski — rozumował Mikołajczyk. Jeśli zatem nabierze przeświadczenia, że Polska szczerze chce być jej wiernym sojusznikiem, to nie będzie się wtrącać do spraw wewnętrznych Kraju, który będzie mógł swoje życie stopniowo kształtować według własnej woli. Stąd płynęło dążenie Mikołajczyka do przestawienia nastrojów Kraju na nutę przyjazną wobec Rosji. I stąd szło przekonanie, że Rosja gotowa będzie uwierzyć w głębokość tak szybkiej przemiany.

Dążenia te miały przynieść i inne skutki. Mikołajczyk wiedział, jak znikomym wpływem w społeczeństwie rozporządza PPR wraz ze wszystkimi swoimi przybudówkami. Nie ulegało wątpliwości, że wie o tym Kreml. Jeśli zatem masowe ugrupowanie polityczne kraju, ludowcy, wykaże się szczerością przyjaznego stosunku do Rosji — to Stalin będzie musiał, dla zapewnienia sobie trwałego sojuszu polskiego, oprzeć się na ludowcach i zaprzestać popierania niepopularnej i słabej ilościowo PPR. W ten sposób wyrażali swoje obliczenia polityczne w lecie 1945 r. najbliżsi współpracownicy Mikołajczyka w Warszawie.

Obydwie przesłanki były złudne. I takie tylko być mogły w świetle założeń polityki sowieckiej. W stosunku bowiem do państw mniejszych, pojęciem sojuszu określa Rosja ich stosunek pełnej zależności. Nigdy też taktyka komunistyczna nie rezygnuje z zapewnienia własnym agenturom roli co najmniej decydującej, jeśli nie wyłącznej. Rachuby Mikołajczyka wzięcia góry nad PPR nie tylko nie były — w rzeczywistości założeń sowieckich — realne, lecz musiały doprowadzić do wywołania ostrej walki przeciw PSL jako zuchwałemu, a groźnemu przez swą siłę masową, konkurentowi do władzy.

Rachuby Mikołajczyka na poparcie jego zamiarów przez Anglosasów były fałszywe. Już klucz teherański wskazywał a pieczęć Jałty potwierdziła, jaka linia wytyczać będzie granicę strefy wpływów sowieckich. Nic nie wskazywało, aby Anglosasi chcieli przełamać tę linię podziału. Nie można zaś godzić zabiegów o pozyskanie zaufania Rosji z jednoczesnym liczeniem na odwodową pomoc jej „sojuszników czasu wojny“, a naturalnych przeciwników. Taka buchalteria polityczna przynosi podwójne saldo ujemne.

Koncepcja Mikołajczyka załamała się także z przyczyn wewnętrzno-polskich. Jadąc do Warszawy Mikołajczyk sądził, że wpływem swoim zdoła przestawić społeczeństwo na stanowisko przyjaznej współpracy z Rosją. Kraj jednak miał już za sobą ciężar doświadczeń sowieckich z lat 1939–41 i 1944–45. Kraj miał możność bezpośredniego poznania prawdziwego znaczenia „sojuszu polsko-radzieckiego“ i reżymu lubelskiego, który się oparł na tym „sojuszu“. Nie było już miejsca na złudzenia. Była natomiast wola oporu i powszechne pragnienie zerwania z narzuconą rzeczywistością.

Tłumy spotykające Mikołajczyka w lipcu 1945 na ulicach Warszawy i Krakowa witały w nim nie rzecznika ugody polsko-rosyjskiej, lecz chciały w nim widzieć upostaciowaną własną nadzieję zmiany istniejącej sytuacji politycznej. Było to zasadnicze wzajemne nieporozumienie.

Na człowieka myślącego po polsku siła nastroju w Kraju musi wywierać wpływ przemożny. Sile tej uległ i Mikołajczyk. Napierała ona na niego i z mas partyjnych własnego stronnictwa. Masa chłopska przeszła w toku lat wojennych szybki rozwój i powodowała się już nie tylko instynktem, ale osiągniętym wyrobieniem politycznym. Nie zdołał jej Mikołajczyk narzucić własnego poglądu. Wbrew temu, co chciał — poniosła go z sobą fala nastrojów krajowych, których siły i kierunku nie umiał w Londynie i Moskwie obliczyć, tak jak teraz nie potrafił utrzymać się przy własnej, zamierzonej linii.

Reszty dokonała przemyślana i pozbawiona skrupułów taktyka komunistyczna. W obronie władzy i wyłączności reprezentowania „przyjaźni“ polsko-rosyjskiej zaczęła metodycznie spychać Mikołajczyka na stanowisko opozycyjne. Ostatni zabieg wyborczy pomyślany został jako jeden z końcowych chwytów tej akcji. Mikołajczyk — wbrew swym założeniom — pozwolił sobie narzucić walkę. Walka zaś przekreślała sens jego założeń, niezależnie od tego, że w trudnej, lecz beznadziejnej rozgrywce wykazał on osobistą odwagę i charakter.

Myśl ugody, którą podjął Mikołajczyk — jako myśl polityczna — zbankrutowała. Nie dziś dopiero, lecz już wiele miesięcy temu. I nie dlatego, że Mikołajczyk nie trzymał się jej konsekwentnie. To, że zaczął działać wbrew jej założeniom, stanowi tylko przyczynek do jego charakterystyki jako polityka.

Koncepcja Mikołajczyka była błędna w założeniu a w skutkach szkodliwa. Ponosi on dziś pełne tego konsekwencje. Lecz — nie tylko sam. Ciężar ich spadł również na barki narodu.

WŁADYSŁAW NAŁĘCZ

NA POŻEGNANIE

Znad wód Kanału, sponad ruin Ruhry,
Zwołani dzisiaj — lądujemy w szyku,
Z min niewyraźnych odgadując z góry,
Że już nie trzeba... Nas — polskich lotników.

My — co nas mierził fetor niedowiarków,
My — Don Kichoty z niebieskiej granicy,
Za nieobecnych, leżących w Newarku,
Słuchamy pochwał... My — polscy lotnicy.

Słuchamy gadań o sławie, o dumie,
O czynach, których nikt nam nie zapomni,
W naszym matolstwie nie mogąc zrozumieć,
O czym mówicie... My — polscy bezdomni...

„Pierwsi w potrzebie“, „niezrównani w boju“
(I w naiwności, której nikt nie zmierzy)
Zbieramy od was, w godzinę pokoju,
Ochłapy glorii... My — polscy frajerzy !

Gdy jedną ręką rzucacie ordery,
Drugą — zbyt lotne, wyrywacie pióra,
Wiedzcie, że mamy do ciężkiej cholery,
Skrzydła wrośnięte ! A nie — przy mundurach.

PAWEŁ MOSKWA

ODWIEDZINY

Kroplami się rozbryzgał jesienny krajobraz,
po szybach ciekną łzy, jak smugi deszczu.
W ogrodzie wiatr włóczęga, włóczykij niedobry
porozrzucał, jak liście, kartki zmarłych wieszczów.

Piotr Płaksin przyszedł smutny, eech ! — telegrafista,
jakiś psiak, drżący z zimna, przysiadł pod krzesełkiem,
i Sowizdrzał wpadł gwiżdżąc, niepoprawny świstak,
wystraszył kota z kuchni i zbudził karzełka.

Bo u mnie drzwi otwarte. Otwarte dla wszystkich.
Przedziwnych miewam gości, wesoły samotnik.
Mam ich zawsze czym przyjąć : dwa sałaty listki,
które Chrystus Bezdomny rozmnaża stokrotnie.

Niemcy, obóz DP.

TADEUSZ SOBOLEWSKI

„POBOŻNE ŻYCZENIA“

Wielkie emigracje żyły nastrojem wyczekiwania. Wygnańcom trudno pogodzić się z myślą, że pobyt ich na obczyźnie będzie zjawiskiem długim. Dlatego wyszukują skwapliwie wszelkich oznak, zwiastujących przemianę. Naród żydowski nie wyrzekł się po dzień dzisiejszy myśli o nadejściu zbawcy — mesjasza. Niedobitkom powstania listopadowego lada nowina polityczna, lada pogłoska wydawała się sygnałem powszechnej rewolucji.

Podobne nastawienie uczuciowe zaczyna wytwarzać się śród obecnego uchodźtwa polskiego. Z doznanych krzywd i zawodów, z daremnych ofiar, z pamięci o niespełnionych przyrzeczeniach, z goryczy chleba codziennego rodzi się dręczące napięcie, któremu chciałoby się przeciwstawić za wszelką cenę jakieś pogodniejsze zapowiedzi. Skoro nie można nadać prądowi wydarzeń pożądanego kierunku, chciałoby się doznać przynajmniej chwilowej pociechy. Jeżeli rzeczywistość uparcie nie chce sprostać nadziejom, tym gorzej dla rzeczywistości. Trzeba nagiąć ją w wyobraźni stosownie do potrzeby tak, aby przestała wywoływać przygnębienie. A gdyby trzeźwy rozsądek zbuntował się i próbował rozpraszać iluzje, trzeba zmusić go do posłuszeństwa lub w najgorszym razie skazać na milczenie.

W ten sposób wytwarzają się sprzyjające warunki dla stanu, który Brytyjczycy zwykli określać jako „*wishful thinking*“. Proces polega na poddaniu całego życia wewnętrznego dyktandu uczucia. Naturalny bieg myśli zaczyna wówczas zatracać swój stopień niezależności i dostosowuje się do wymagań, jakie stawiają namiętności. Już przy gromadzeniu faktów omija się zjawiska niewygodne i wybiera tylko takie, które sprzyjają przyjętym z góry założeniom. Gdyby jakiegoś przykrego natręta nie dało się wyrugować z pola widzenia, można przynajmniej wyznaczyć mu rolę drugorzędną i usunąć w cień, aby nie psuł ogólnej harmonii. Nic wygodniejszego, jak uszeregować cały materiał myślowy w taki sposób, aby schlebiał pragnieniom. Zaszczytne miejsce czołowe przypadnie wówczas w udziale zjawiskom, upoważniającym do optymizmu, co znakomicie ułatwia uzyskanie pożądanych wniosków końcowych. Poza tym motywy uczuciowe wplatają się dyskretnie w bieg rozumowania, które wskutek tego doprowadza nieraz do wyników jak najbardziej nieoczekiwanych.

W języku polskim dla określenia podobnego stanu wewnętrznego posiadamy nazwę rodzimą: „pobożne życzenia“. Wyrażenie to różni się jednak od angielskiego o tyle, że nie mówi nic o wpływie naszych chęci na rozsądek, na rozumowanie. Tymczasem oddziaływanie to kryje najwięcej niebezpieczeństw. Człowiek, żyjący urojeniami, porusza się w świecie nieprawdziwym i nie jest w stanie zdać sobie sprawy ze stosunków rzeczywistych. Dyktatura „pobożnych życzeń“ może oznaczać niechęć do stawienia czoła surowej prawdzie i pogoń za życiem pozornie ułatwionym, w istocie jednak najeżonym bolesnymi niespodziankami.

W pewnych warunkach umiarkowany stopień „*wishful thinking*“ może niewątpliwie odegrać rolę dodatnią. Stanowi on podświadomą obronę przed stanami apatii i przygnębienia w okresie najostrzejszych kryzysów. Podczas niedawnej wojny stronniczość zabarwiała nasz pogląd na wydarzenia przedwczesnymi nadziejami, pomagając przetrwać lata niepowodzeń. W okolicznościach bardziej normalnych metoda okazuje się co najmniej wątpliwa. Lekarstwo może przynieść nieraz więcej szkody, niż choroba.

Wiele zależy oczywiście od siły naporu, jakiemu podlega świat naszych sądów. Jeśli samowola wierzeń i pragnień jest pozbawiona hamulców, w wypowiadanych ocenach pojawiają się karykaturalne zniekształcenia, a obraz rzeczywistości staje się naiwnie fałszywy. Moment krytyczny nastaje z chwilą przystąpienia do jakiegokolwiek działania. Przekonywamy się wówczas, że jesteśmy właściwie bezradni. Za błogie złudzenia trzeba płacić lichwiarską cenę. Pogodne samopoczucie ustąpić musi miejsca depresji; po ambitnej pewności siebie przychodzi załamanie. Kontrast prowadzi do wstrząsu, zabijającego zdolność działania.

Przykład reakcji umiarkowanej dają Brytyjczycy. Spokojne usposobienie i wysoki stopień dyscypliny społecznej, umożliwiający swobodną wymianę poglądów i redukujący liczbę tematów „zakazanych“, chroni naród brytyjski przed wygórowanym zuchwalstwem „pobożnych życzeń“.

Temperament Polaka trudno utrzymać w ryzach. Jedna przygodnie zasłyszana pogłoska, jedna notatka prasowa, która właściwie nic nie znaczy i którą można rozmaicie komentować, dostarcza mu kanwy do najśmielszych wniosków i nieraz wywołuje gwałtowny przeskok od ponurego zamyślenia do radosnych, rozlewnych uniesień. Siła i nagłość przeżycia nie pozwala na samokrytycyzm, otoczenie zaś zamiast czynić odpowiednie poprawki, samo poddaje się sugestii. Kiedy przypuszczenia nie chcą się sprawdzać, pojawia się melancholia. Jeśli wstrząsy następują często, skutek bywa dwojaki: albo wrażliwość przytępia się i jednostka obojętnieje na wszystko, albo zaczyna się nerwowe poszukiwanie podniet coraz gwałtowniejszych, co prędzej czy później prowadzi do awantury.

W obecnym środowisku uchodźczym „pobożne życzenia“ ujawniają się w postaci równie wzruszającej, jak zabawnej. Umysł i wyobraźnia wysilają się zgodnie, aby na zachmurzonym niebie politycznym wykryć co rychlej jutrzenkę wielkiej przemiany. Najbardziej fantastyczne słuchy urastają do godności poufnej informacji, pochodzącej ze źródła, o którego wiarygodności nie podobna wątpić. Rozjaśniają się marsowe oblicza: łączą się znów skrzydła pancerne, lotnicze, spadochronowe i zrywają się do lotu w przyszłość; gorący napój dodaje śmiałości marzeniom i rozwichrzenia czuprynom. Rankiem złudzenie pryska, a entuzjastów ogarnia niesmak — aż do następnej okazji.

Do zajęcia się „pobożnymi życzeniami“ skłania zasadnicze przeobrażenie, dokonywające się na naszych oczach w układzie stosunków politycznych. Podczas wojny zjawisko „*wishful thinking*“ nie budziło specjalnego niepokoju, chodziło bowiem o okres przejściowy, w którym wolno było uciekać się nawet do narkotyków, byle nie zawieść podczas próby. Inaczej przedstawia się oczywiście sprawa, gdy chodzi o wyznaczenie stałej metody postępowania. Można dowodzić, że właściwie inni mylą się, że jedynie my jesteśmy naprawdę trzeźwi. Zanim jednak ktoś wypowie podobne zdanie, niech przedtem zastanowi się, czy rozporządza rzetelnymi, krytycznie przesianymi przesłankami i czy w formułowaniu odpowiedzi jest zupełnie uniezależniony od własnych pragnień.

Gdyby ktoś usiłował z sumiennością historyka zbadać oddziaływanie „pobożnych życzeń“ na naszą zbiorową postawę w latach ostatnich, taki rachunek sumienia doprowadziłby zapewne do niepokojącego bilansu. Łatwo być mądrym po szkodzie; nie podobna jednak zaprzeczyć, że niejedna decyzja wypadłaby szczęśliwiej, gdyby brano w rachubę możliwość niekorzystnego obrotu wydarzeń i gdyby nie usuwano uparcie poza obręb rozważań pierwiastków niewygodnych.

Jeśli tak było dawniej, o ileż więcej przytomności i zimnej krwi wymaga asystowanie przy okrutnej grze interesów, toczącej się od chwili ustania działań wojennych! Wśród zasadzek świata powojennego nie ma miejsca na nieprzytomnych marzycieli. W dawnych dobrych czasach można było pozwolić sobie na luksus walki z wiatrakami, narażając się co najwyżej na guzy; dzisiaj w dobie postępu technicznego jedno dotknięcie kabla elektrycznego, uruchamiającego maszynę, położyłoby od razu kres awanturze. Na marnotrawienie środków i błąkanie się wśród stwarzanych własnym wysiłkiem urojeń nie pozwala również stan naszych zasobów, jakże straszliwie uszczuplonych.

Nie można przerobić na poczekaniu temperamentu narodowego, ale zdawanie sobie sprawy z jego właściwości — to początek kontroli nad jego słabymi stronami. Łagodniejsza krzywa wahań uczuciowych chroni przed zbyteczną szarpaniną nerwów, zwiększa regularność wysiłków i ułatwia wykonanie zadań najbliższych. Aby uchronić się od niepotrzebnych rozczarowań, trzeba zdobyć się na bardziej krytyczny stosunek do nadpływających podniet, z których niejedna została wywołana sztucznie w tym właśnie celu, aby wywołać fałszywy optymizm. Trzeba mieć również odwagę rozprawienia się ze zjawiskami, których wolałoby się nie widzieć; trzeba zdobywać się na cierpliwość w okresach zastoju.

Czy należy stąd wnioskować, że musimy wyrzec się ciepła wewnętrznego, jakie daje żywy nurt uczucia? Egzystencja uchodźcza jest zbyt szara, aby wolno było wyjaławiać ją z promieni uczuciowych. Muszą jednak one wyrzec się ambicji wyrokowania o wszystkich wypadkach; winny ogrzewać, nie parząc, i świecić bez oślepiania.

Dlatego miejsce spazmatycznych „pobożnych życzeń“ winna zająć wiara, wskazująca odległe cele zasadnicze, ale nie zwalniająca od odpowiedzialności za wykonywanie zadań najbliższych. Wiara opiera się nie na doraźnej koniunkturze, ale na czynnikach stałych, jak Opatrzność i postęp, wolność i sprawiedliwość dziejowa. Wiara nie łudzi pokusą rozwiązania każdej zagadki, ale daje pewność posuwania się we właściwym kierunku. Jest ona najlepszą rękojmią zrównoważonego pochodu ku lepszemu Jutru.

FELIKS BIELSKI

Przegląd tygodniowy

GEN. MARSHALL I POLSKA

Długo oczekiwane pierwsze posunięcia nowego amerykańskiego Sekretarza Stanu gen. Marshalla wreszcie nastąpiły, ale w gruncie rzeczy rzuciły niewiele światła na jego politykę. To zaś co można z nich wnioskować nie jest specjalnie pomyślne.

Trzy posunięcia są do tej pory do zanotowania: komunikat w sprawie wyborów w Polsce, zaniechanie prób pośrednictwa w Chinach i nowa próba kompromisu w sprawie kontroli atomowej i rozbrojenia. Oczywiście nas interesuje najbardziej sprawa pierwsza, ale trzeba od razu stwierdzić, że komunikat o wyborach, dość dwuznaczny, i wskazujący co najmniej na brak zdecydowania, jeśli chodzi o wyciągnięcie konsekwencji z potwornego oszustwa wyborczego i złamania wszystkich zobowiązań przez reżim warszawski, nie dowodzi, by gen. Marshall zamierzał zaostrzyć linię polityki amerykańskiej wobec Rosji.

Niewątpliwie, nazajutrz zabrał głos sen. Vandenberg, którego przemówienie było ostrzejsze w tonie i głosiło, że same protesty nie wystarczają. Jednakże i sen. Vandenberg nie wysunął żadnych konkretnych postulatów, nie zażądał ani nieuznawania „rządu" wyłonionego z wyborów, ani odwołania się do ONZ, ani tym bardziej uznania całego układu z Jałty za przekreślony. Jedyna jego konkretna propozycja była raczej niepoważna. Bo jakże można dziś twierdzić, że trzeba czym prędzej naradzać się z Rosją nad niedotrzymaniem zobowiązań przez rząd warszawski? Przecież czyni to on na rozkaz Moskwy! Cóż w takim razie mogą dać wspólne narady zalecane przez senatora amerykańskiego?

Nie można oprzeć się wrażeniu, że Vandenberg stara się tu dopomóc rządowi amerykańskiemu do wygrania na czasie. Zupełnie jednak nie widać co za korzyści ma komukolwiek dać ta zwłoka; może ona jedynie doprowadzić do pogodzenia się w końcu z faktami dokonanymi. Gdy nie ma natychmiastowej reakcji na jakąś zbrodnię czy gwałt, to później jest ona mniej prawdopodobna.

GEN. MARSHALL I CHINY

Drugie posunięcie gen. Marshalla też nosi piętno dwuznaczności i niezdecydowania. Zaniechanie prób pośrednictwa w Chinach i w związku z tym wycofanie wojsk amerykańskich z Chin może wprawdzie okazać się gestem bez większego znaczenia, ale może też być ustępstwem na rzecz Rosji i komunistów całego świata, którzy domagali się oddawna wycofania Amerykanów z Chin.

Wszystko będzie zależało od tego, czy St. Zjednoczone udzielą rządowi narodowemu marsz. Cziang-Kai-Szeka pełnej pomocy w zbliżającej się decydującej walce z komunistami, czy też nie. Do udzielenia tej pomocy obecność kilkunastu tysięcy żołnierzy amerykańskich nie jest bynajmniej nieodzowna. Znacznie ważniejsze jest pozostanie paru tysięcy instruktorów szkolących armię chińską oraz sprzętu, obejmującego dużą ilość samolotów i okrętów wojennych. Kapitalne znaczenie ma pomoc gospodarcza i finansowa, której Chiny gwałtownie potrzebują. Dzięki uzyskanemu od Amerykanów materiałowi wojennemu Cziang-Kai-Szek mógłby z pewnością wygrywać wojnę domową i odbierać teren komunistom, ale sytuacja gospodarcza niebardzo pozwala na prowadzenie dłuższych działań wojennych.

Jeżeliby St. Zjednoczone uzależniały nadal pożyczkę dla Chin od osiągnięcia pokoju wewnętrznego, to dawałyby potężny oręż do ręki komunistom chińskim, pozwalając im na stawianie warunków nie do przyjęcia. Jeśli taki sens ma wycofanie się z czynnej interwencji w Chinach, to byłoby to zjawisko niepokojące.

Przyszłość pokaże co się za tym manewrem kryje. Ale już sam fakt, że jest on określany jako gest pojednawczy pod adresem Rosji, nakazuje traktować go z rezerwą. Czego dziś światu potrzeba, to nie gestów pojednawczych wobec Rosji, ale gestów, zmuszających ją do wykonania własnych zobowiązań i wyrzeczenia się polityki napastniczej i zaborczej.

SOJUSZ ANGLO-ROSYJSKI

Ta sama uwaga nasuwa się w związku ze sprawą sojuszu anglo-rosyjskiego którego przedłużenie i „wzmocnienie" ma być niebawem przedmiotem rozmów pomiędzy obu krajami. Choć chwilowo ta sprawa ucichła, jednak nie wydaje się, by ta cisza trwała długo. Jeżeli nie wcześniej, to w każdym razie w marcu w Moskwie dojdzie do bardziej zasadniczej dyskusji na ten temat.

W gruncie rzeczy sojusz z Rosją jest absurdem. Sojusze zawiera się przeciw niebezpieczeństwu, które grozi obu sojusznikom. Jakie zaś niebezpieczeństwo grozi dziś wspólnie Anglii i Rosji? Niebezpieczeństwo niemieckie? Wolne żarty! Niemcy mogą być dziś niebezpieczne tylko jako wspólnik czyto Rosji czy W. Brytanii. A sojusz anglo-sowiecki wcale nie przeszkadza Rosji w organizowaniu Niemiec jako ewentualnego przyszłego sojusznika.

Jedyne istotne niebezpieczeństwo grozi W. Brytanii, tak jak i innym narodom ze strony Rosji. A oczywiście sojusz z tym napastniczym państwem przed nim nie zabezpieczy. Dlatego pomijając nawet głęboką niemoralność sojuszu z państwem tego rodzaju, z państwem które dokonało niezliczonych napaści i którego przywódcy powinni byli zasiadać na ławie oskarżonych u boku Ribbentropa i spółki, dyskusja na temat przedłużenia sojuszu anglo-rosyjskiego na 50 lat nie może być uważana za krok naprzód w dziele budowy pokoju i bezpieczeństwa.

Niestety zaślepienie części społeczeństwa brytyjskiego w odniesieniu do Rosji jest wciąż jeszcze tak duże, że rząd brytyjski nie mógłby dziś powiedzieć narodowi, że sojusz, którego postanowień Rosja nie dotrzymała, przestaje mieć wartość wiążącą.

Wydaje się zresztą, że na tę właśnie krótkowzroczność niektórych kół brytyjskich Stalin liczy. Spodziewa się on, że stawiając p. Bevinowi warunki nie do przyjęcia, jak np. warunek, któryby zmuszał w pewnych okolicznościach W. Brytanię do walczenia u boku Rosji przeciw St. Zjednoczonym — zmusi go do zerwania rokowań i że wówczas będzie można dowodzić opinii brytyjskiej, że p. Bevin „nie chce sojuszu z Rosją".

Będzie to w każdym razie interesująca rozgrywka dyplomatyczna...

EGIPT I PALESTYNA

Pozycję W. Brytanii w tych i innych rokowaniach osłabiają trudności zarówno wewnętrzne, jak i zagraniczne, z jakimi w tej chwili musi się ona borykać.

W ostatnich tylko dniach są do zanotowania takie wydarzenia, jak zerwanie rokowań o traktat egipsko-brytyjski i zapowiedź przedłożenia przez Egipt sprawy Radzie Bezpieczeństwa ONZ, oraz zaostrzenie sytuacji w Palestynie, które znalazło dramatyczny wyraz w decyzji ewakuowania z tego kraju brytyjskich osób cywilnych zwłaszcza kobiet i dzieci — wyraźnie w przygotowaniu do krwawej rozgrywki z terrorystami.

W. Brytania długo zwlekała z rozwiązaniem problemu palestyńskiego i zwłoka nie czyniła go łatwiejszym. Jak się zdaje, obecnie rząd brytyjski doszedł do wniosku, że osiągnięcie porozumienia z Arabami i Żydami nie jest możliwe i postanowił narzucić im prawdopodobnie najlepsze rozwiązanie, a mianowicie podział Palestyny na dwa państwa, żydowskie i arabskie. Ponieważ jednak Palestyna nie jest własnością brytyjską, ale jedynie mandatem powierzonym ongiś W. Brytanii przez Ligę Narodów, więc plan musi być zatwierdzony przez ONZ, co w każdym razie połączone jest z poważną zwłoką. Tymczasem zaś napięcie w samej Palestynie będzie się wzmagało.

WEWNĘTRZNE KŁOPOTY W. BRYTANII

Niemniej poważne są trudności wewnętrzne i gospodarcze W. Brytanii. Utrzymanie poziomu życia, a tym bardziej jego podniesienie wymaga znacznie zwiększonej produkcji zarówno, by uzyskać więcej artykułów konsumpcyjnych, których brak W. Brytania tak bardzo odczuwa, jak i dla celów eksportowych, by móc kupować surowce i żywność. Tymczasem produkcja nie zwiększa się, ponieważ brak jest zarówno rąk do pracy, jak i entuzjazmu dla pracy. Rząd musiał niedawno stwierdzić, że sytuacja gospodarcza kraju jest bardzo ciężka.

Opozycja oczywiście wykorzystuje ten fakt, aby zwalczać rząd socjalistyczny i wytykać mu, że zbytnio zajmuje się reformami społecznymi, nacjonalizacją coraz to nowych przemysłów i td., a zaniedbuje produkcję. Konserwatyści prawdopodobnie radzi byliby doprowadzić do tego, by *Labour Party* zrezygnowała z samodzielnego rządzenia i poszła na stworzenie znowu koalicji takiej, jaka istniała w czasie wojny. Nie wydaje się jednak, by premier Attlee skłaniał się do takiego rozwiązania; w każdym razie jeszcze nie teraz. Natomiast rząd koalicyjny powstałby może w tym wypadku, gdyby na tle stosunków z Rosją doszło do rozłamu w *Labour Party*. Wówczas prawe skrzydło *Labour Party* mogłoby się połączyć z konserwatystami i wspólnie stworzyć rząd.

Ale na to tymczasem się nie zanosi.

Londyn 2 lutego 1947.

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Wielka dyskusja na temat wyborów zaczyna przycichać. Jeszcze ukazują się od czasu do czasu artykuły, przeważnie nie wnoszące wiele nowego, stosunkowo liczne są też listy do redakcji poszczególnych pism, protestujące przeciw błędom i fałszywym wnioskom, ale wyraźnie sprawa polska znowu schodzi na drugi plan.

Tygodnik „*New Statesman and Nation*" zamieszcza list protestujący przeciw różnym obrzydliwościom wypisanym w poprzednim numerze przez korespondentkę z Warszawy. Autor tego listu określa rozumowanie tej korespondentki, która starała się uzasadnić postępowanie reżimu, jako „moralny nihilizm". Jednakże nawet to określenie wydaje się zbyt łagodne dla oceny postawy pro-sowieckich intelektualistów, których poglądy wyraża „*New Statesman*".

Drukując ten list zamieszcza on jednocześnie artykuł redakcyjny, który jest pewnego rodzaju rekordem cynizmu, perfidii i zakłamania. Pisze więc, że rząd warszawski powinien po prostu przyznać, że „stopień uczciwości wyborów w Polsce jest raczej taki, jaki istnieje powszechnie w Europie wschodniej i w południowych stanach St. Zjednoczonych, aniżeli w W. Brytanii". Tak więc dla salonowych komunistów z „*New Statesman*'a" wybory w Polsce mogą być ponurą parodią, ponieważ cała Europa wschodnia na nic lepszego nie zasługuje. Przy tej sposobności zaś pismo usiłuje wmówić czytelnikowi, że skoro w niektórych stanach amerykańskich dzieje się krzywda Murzynom, Ameryka nie ma prawa protestować przeciw zbrodniom komunistów w Polsce.

Ale szczytem wszystkiego są dalsze wnioski pisma, którego zdaniem odpowiedzią mocarstw zachodnich a w szczególności W. Brytanii na fałszerstwa wyborcze powinno być „skończenie z wielkim skandalem", jakim jest... tolerowanie działalności „londyńskich Polaków", istnienie P.K.P.R. o charakterze wojskowym i zatrudnienie 400 Polaków przez Interim Treasury Committee. Iście hotentocka etyka!

Oczywiście poglądy tego rodzaju reprezentuje tylko drobny odłam opinii brytyjskiej. Byłoby błędem przeceniać znaczenie tego rodzaju obrzydliwych wystąpień ze strony nieuleczalnych entuzjastów polityki kapitulacyjnej, będących zresztą zagorzałymi krytykami polityki rządu brytyjskiego.

Zgoła inne zarzuty pod adresem tego rządu wysunął — tym razem na tle sprawy zatrudnienia Polaków — „*Manchester Guardian*". Pismo to poddaje krytyce oświadczenie ministra pracy Isaacs'a, według którego do tej pory do PKPR zapisało się 53.000 ludzi, z czego dla 2.100 znaleziono pracę, przyczym po raz pierwszy bodaj spotkać można na łamach prasy brytyjskiej ubolewanie, że zbyt mało ludzi zgłasza się do PKPR. Pismo formułuje następujące pytania:

„Przede wszystkim: dlaczego tak niewielu Polaków (mniej więcej jedna trzecia) zapisała się dotychczas do PKPR! Dlaczego War Office nie osiągnęło lepszych wyników w tej sprawie? Czy powodem tego rodzaju słabego zaciągu są — polskie uprzedzenia, czy też nieudolność brytyjskich czynników oficjalnych?...

Po drugie: czy ministerstwo Isaacs'a może być dumne z tego, że w ciągu tylu miesięcy mogło umieścić w zawodach cywilnych zaledwie 2.100 ludzi!

Po trzecie: Czy p. Isaacs może, naprawdę, z całą powagą utrzymywać, że główną przeszkodą na drodze do zatrudnienia Polaków oraz wysiedleńców cywilnych jest brak pomieszczeń? Gdyby istniały tego rodzaju argumenty, to nie bylibyśmy nigdy w stanie przeprowadzić naszego programu produkcji broni i amuncji".

Artykuł ten potwierdza nasze przypuszczenia, według których brak rąk do pracy w W. Brytanii stanie się decydującym czynnikiem, jeśli chodzi o stosunek do Polaków. I dlatego żadnego wpływu nie będą miały ujadania komunistów, których organ protestuje przeciw sprowadzaniu wysiedleńców z Niemiec, nazywając ich obelżywie „szumowinami Europy".

LECTOR

Polska pod okupacją: zagadnienia gospodarcze

Pod względem gospodarczym Polska dzisiejsza składa się z dwóch części, które mają ze sobą tylko tyle wspólnego, że obie są silnie zniszczone i zdewastowane. W roku 1918 Polska też powstała z połączenia trzech zaborów, lecz wszystkie trzy zabory były zamieszkałe przez Polaków, którzy znali rzeczywistość gospodarczą na swoich ziemiach. Przyłączone dziś do Polski Ziemie Zachodnie nie były zamieszkałe przez Polaków i nie ma takich Polaków, którzyby te ziemie dobrze i praktycznie znali. Nie mówiąc już o tym, że okupanci niemieccy zajadle niszczyli polską inteligencję, przemysłowców i działaczy gospodarczych, więc ludzi znających się na sprawach gospodarczych jest dziś znacznie mniej, niż było przed wojną.

Zniszczenia w Polsce są olbrzymie. W przybliżeniu wartość zniszczonych urządzeń gospodarczych jest szacowana na 12-15 miliardów dolarów. Francuzi szacują swoje zniszczenia na 20 miliardów dolarów, lecz Francja jest znacznie bogatsza.

Oblicza się, że połowa urządzeń przemysłowych w Polsce została zniszczona. Dokonywali tego dzieła naprzód Niemcy, a potem Rosjanie, którzy demontowali i wywozili cenne maszyny przemysłowe. Zniszczeniu uległ cały przemysł, znajdujący się w Warszawie, a była to przecież „śmietanka" gospodarcza, niekoniecznie największe, ale za to stojące na ajwyższym poziomie technicznym i naukowym zakłady wytwórcze. Rolnictwo poniosło największe straty z rąk rosyjskich. Rosjanie obrabowali polskie rolnictwo z inwentarza żywego. Polska ma dzisiaj zaledwie 30% przedwojennego stanu koni i 14% świń. Ogólną wartość strat rolnictwa szacuje się na 3 miliardy dolarów.

Trudności gospodarcze, stojące przed Polską, wyrastają więc głównie z tych dwóch źródeł: zniszczenie Kraju przez okupantów, oraz trudności wyrosłe z utraty ziem, które były z Polską zrośnięte gospodarczo. Polska dzisiejsza jest czymś innym, niż Polska przedwojenna — obrazowo mówiąc — jest innym gospodarstwem, rządzonym przez innych ludzi. Gdy człowiek obejmuje gospodarstwo, robi inwentarz. To samo trzeba robić, żeby gospodarować w państwie. Takim robieniem inwentarza na skalę państwową jest statystyka. Po to, żeby się zorientować dokładnie w stanie gospodarczym Polski, trzeba przeprowadzić szereg spisów statystycznych.

Dotychczas zrobiono tylko spis ludności i to tylko prowizoryczny, co do ogólnej liczby. Ludność jest przy tym ciągle w ruchu — wysiedlają Niemców, osiedlają Polaków zza „Linii Curzona", wracają wychodźcy. Spisu ludności pod względem podziału na zawody nie zrobiono. Nie wiadomo zatem dokładnie, ilu jest w Polsce inżynierów, techników, ślusarzy, mechaników, górników i t.d. Potrzeba jest również wiedzieć, ile jest domów, fabryk, młynów i t.d. — czyli zrobić spis nieruchomości, spis rolny, spis przemysłowy i dopiero potem można dobrze planować rozwój gospodarczy.

Na razie mamy w Polsce Centralny Urząd Planowania, który nie wie, czym rozporządza, nie wie, ile państwo ma domów, fabryk, robotników i t.d. Polityka gospodarcza rządu cała opiera się na przybliżonych szacunkach i domysłach. Ponadto przyjęto w Polsce „zwyczaj" porównywania liczb Polski z 1938 r. i Polski dzisiejszej, chociaż jedne i drugie liczby nie odnoszą się do tych samych obszarów.

Żeby człowiek mógł żyć, musi jeść. Z tego powodu sytuację gospodarczą każdego kraju trzeba na pierwszym miejscu ocenić pod względem żywnościowym. Polska jest krajem rolniczym i przy tym drobno-rolniczym. Głównym bogactwem drobnego rolnika są zwierzęta gospodarskie. Skoro pogłowie zwierząt gospodarskich zostało silnie zmniejszone, to jasne jest, że produkcja rolna, jako całość, musiała się obniżyć. Jest mniej mięsa, mniej nabiału, mniej tłuszczów, a wskutek braku siły pociągowej i nawozów, spada i produkcja roślinna — zbóż i roślin okopowych.

Poziom wyżywienia oblicza się dziś w jednostkach cieplnych — w kaloriach. W W. Brytanii średnia ilość żywności na głowę ludności wynosi 2.800 kalorii. Najmniejsza ilość, niezbędna, by organizm ludzki wytrzymał bez wielkiego osłabienia i chorób wynosi 2.000 kalorii. Średnia dzienna ilości żywności w Polsce wynosi tylko 1.500–1.600 kalorii na głowę ludności.

Porównanie tych cyfr stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że Polska, jako całość, głoduje. Ponieważ w Polsce nie ma równego i sprawiedliwego racjonowania żywności, jak w W. Brytanii, uprzywilejowana klasa ludności, dygnitarze reżimu przede wszystkim, odżywiają się na znacznie wyższym poziomie, niż masa ludności, a cudzoziemiec, który chodzi w Warszawie do świetnych restauracji, może mieć wrażenie, że Polska obfituje w żywność.

Reforma rolna została wykonana z ogromnym pośpiechem i chaotycznie, dla wywołania efektu politycznego. Obliczenie wyników reformy rolnej ujawnia w ogromnym stopniu jej ukryte cele. W ciągu lat 1919–1938 uległo rozparcelowaniu na tej części Polski, która należy do „starej" Polski — 2,654.800 ha, z czego w ręce drobnych gospodarstw przeszło 2,587.000 ha. W czasie obecnej reformy wywłaszczono 2,041.000 ha, z tego jednak przydzielono chłopskim gospodarstwom tylko 1,127.000 ha. Reszta — 900.000 ha pozostała w ręku państwa i gospodarki publicznej w formie wielkich gospodarstw rolnych. Na ziemiach przyłączonych parcelacji nie przeprowadzano, a tylko wywłaszczono wielkich posiadaczy na rzecz państwa.

W sumie państwowa własność wielkorolna obejmuje w dzisiejszej Polsce 25% ornej ziemi, podczas gdy w Polsce przedwojennej w rękach wielkiej własności pozostawało już tylko 15% ornej ziemi. Widoczne jest z tego, że celem dzisiejszej reformy rolnej było głównie wywłaszczenie ziemianina, a nie zwiększenie i wzmocnienie gospodarstw chłopskich. Obecna polska reforma rolna pozostawiła, tak jak w Sowieckiej Rosji, dużo folwarków w rękach państwa, które to folwarki noszą w Rosji nazwę „sowchozów", t.zn. gospodarstw sowieckich.

Komasacji i melioracji nie przeprowadzono w toku tej reformy. Nie upełnorolniono gospodarstw karłowatych, lecz stworzono nowe karłowate. W wyniku wyniszczenia koni mamy dość gospodarstw bez sprzężaju, których uprawa będzie zależała od traktora w najbliższym folwarku państwowym.

Wszystko to razem doprowadziło do bardzo podobnego stanu rzeczy, jaki miał miejsce w Rosji po rewolucji, a przed przymusową kolektywizacją rolnictwa. Niby to się idzie na spotkanie chłopskiemu życzeniu posiadania ziemi. Równocześnie jednak stwarza się takie warunki, by chłop nie mógł być naprawdę samodzielnym gospodarzem na tej ziemi.

W przemyśle prywatni właściciele są wywłaszczani. W Rosji to wywłaszczanie nazywało się socjalizacją (uspołecznieniem), a w Polsce, żeby milej brzmiało dla polskiego ucha, nazywa się to nacjonalizacją (unarodowieniem). Właścicielem przemysłu staje się państwo, a dysponentem staje się rząd. Rząd zaś nie jest niezależny i musi słuchać rozkazów obcego państwa. Wynika z tego cały szereg skutków.

Na przykład: Polska produkuje dużo węgla. Węgla brakuje w całej Europie i Polska mogłaby dostawać za swój węgiel żywność dla głodującej ludności i maszyny dla odbudowy przemysłu. Polska jednak musi dostarczać węgla Rosji — pół darmo. Polska dostarcza węgla Szwecji — ale miliardowy kredyt 15-letni na szwedzkie maszyny dostała za to Rosja, a nie Polska.

Przemysł włókienniczy w Polsce pracuje na 50% rozmiarów przedwojennych. Wobec tego, że Polska dizisiejsza ma 66% przedwojennej ludności mogłoby się wydawać, że sprawa odzieży nie stoi w Polsce tak źle — 70% przedwojennej ilości tkanin na głowę. Lecz naprawdę, to polskie fabryki przerabiają bawełnę sowiecką dla sowieckiego konsumenta i na potrzeby Polski pozostaje tego bardzo niewiele.

Polski „znacjonalizowany" przemysł włókienniczy jest więc tylko chałupnikiem, pracującym za głodowe płace dla sowieckiego nakładcy, a polski górnik pracuje tylko w połowie na potrzeby polskiego gospodarstwa narodowego. Przemysł prywatny wykręcałby się z podobnego haraczu wszystkimi sposobami (a zna ich dużo). Przemysł znacjonalizowany jest jednak kontrolowany przez rząd, a rząd jest kontrolowany — przez inny rząd.

STANISŁAW KLINGA

„NASZA DROGA"

Dnia 1 lutego br. ukazał się pierwszy numer miesięcznika informacyjnego pod tą nazwą. Zawiera on szereg aktualnych i praktycznych szczegółów dotyczących organizacji życia, zatrudnienia, formalności urzędowych, rozrywek i td. na terenie W. Brytanii. Każdy znajdzie w nim dane, które rozproszą niejedną wątpliwość i ułatwią zwłaszcza pierwsze kroki na nowym terenie. Cena egzemplarza 6d., do nabycia wszędzie. Adres Redakcji i Administracji: 66, New Cavendish Street, London, W.1.

Dzieje chorego sojuszu

I.—OD STRONY FRANCJI

Ambasador francuski w Warszawie w przełomowych latach 1935–1939, p. Leon Noël, wydając obszerne wspomnienia o swej misji, pragnął przede wszystkim zobrazować dzieje swej wytrwałej, ale nieuwieńczonej powodzeniem walki z Józefem Beckiem. Jednakże nie udało mu się uczynić ze swych wspomnień aktu oskarżenia przeciw polskiemu mężowi stanu. Jeżeli książka ta jest aktem oskarżenia, to jedynie przeciw polityce francuskiej okresu przedwojennego.

W świetle pamiętników Noëla możemy dopiero z niemalże lekarską dokładnością przeprowadzić rozpoznanie choroby, która trawiła sojusz polsko-francuski. Z tego też punktu widzenia książka ta zasługuje na pilną uwagę. Sojusz polsko-francuski, sojusz w pełnym tego słowa znaczeniu naturalny, mógł i powinien był stanowić kamień węgielny pokoju w Europie. Jak się stało, że roli tej nie odegrał?

U źródeł choroby sojuszu była niemoc Francji. Od samego początku politycy i wojskowi francuscy działali tak, jakby byli przekonani, że Francja dochować sojuszu z Polską nie jest w stanie. Z biegiem lat zaś coraz wyraźniejsza stawała się dążność do uchylenia się od zobowiązań sojuszniczych. Niewątpliwie prawdą jest, że w końcu Francja formalnie dochowała wiary i zgodnie ze swymi zobowiązaniami wypowiedziała Niemcom wojnę.

Czy jednak można fakt ten uważać również za rzeczywiste, a nie tylko formalne wykonanie sojuszu? Konwencja wojskowa formułowała konkretne zobowiązania, przewidywała terminy ofensywy na zachodzie, przede wszystkim zaś akcji lotniczej. Terminy te nie zostały dotrzymane i w praktyce sojusz nie zagrał. I choć Francja może wskazać na straszliwe cierpienia, które ją dotknęły, ponieważ w wykonaniu sojuszu wypowiedziała Niemcom wojnę, to jednak można na to odpowiedzieć, że być może wiele tych cierpień byłoby jej i Polsce i innym krajom zaoszczędzonych, gdyby nie tylko litera, ale i duch sojuszu został uszanowany i gdyby Francja nie pozostała bezczynna we wrześniu 1939.

Jak doszło do tej bierności? Aby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba sięgnąć wraz z p. Noëlem daleko wstecz.

Przede wszystkim okazuje się, że najwyższe francuskie czynniki wojskowe były zawsze przeciwne zbyt ścisłemu wiązaniu się z Polską, a zwłaszcza automatyzmowi sojuszu. P. Noël ujawnia nieznane zupełnie szczegóły zawarcia w r. 1921 konwencji wojskowej:

„Według tego, co mi pewnego dnia opowiedział gen. Weygand, podstawy konwencji wojskowej zostały ustalone po przyjęciu wydanym na cześć marszałka Piłsudskiego w Pałacu Elizejskim. Po obiedzie prezydent Republiki zaprowadził do swego gabinetu, wraz z Arystydesem Briandem i Ludwikiem Barthou, Piłsudskiego i jego współpracowników. Foch i inni zaproszeni generałowie francuscy zostali pozostawieni za drzwiami i układ zawarty został poza nimi. Rząd francuski przeszedł do porządku nad kategorycznymi zastrzeżeniami szefa naszej armii“.

Na czym polegały te zastrzeżenia marszałka Focha? Według Noëla wystosował on w styczniu 1921 list do rządu, w którym wyrażał pogląd, że:

„nie podobna zawierać sojuszu z krajem, który, jak Polska, nie miał jeszcze ani granic, ani rządu, ani armii“.

W rzeczywistości w tym czasie Polska nie miała wprawdzie jeszcze granic wschodnich, ale miała rząd oraz armię — i to armię zwycięską.

W 1929 Polska ma już także solidne granice, ale następcy Focha dalej są przeciwni sojuszowi. Gen. Weygand daje wówczas wyraz wobec p. Noëla poglądowi, że Francja

„związana jest z Polską zobowiązaniami zbyt rozległymi“.

W r. 1934 przybywa do Warszawy inna znakomitość, gen. Debeney. Ma dyskutować z Piłsudskim sprawę stosowania konwencji 1921 roku, ale Marszałek wie, co się święci:

„...Obawiając się, być może, że Francja skorzysta z okazji, aby spróbować ograniczyć swe zobowiązania, uchylił się z uśmiechem od wszelkich rokowań“.

Czynniki wojskowe były konsekwentne niemal aż do końca. Na jesieni 1938, zarówno gen. Weygand, jak i gen. Gamelin zgadzają się z tezą że należało by pozbawić sojusz wszelkiego automatyzmu. Gdy wojna staje się nieunikniona, głosy tego rodzaju już się nie odzywają, ale w praktyce dalej nie ma współpracy. W maju 1939 gen. Kasprzycki udaje się do Paryża. Można by sądzić, że przy tej okazji ustalone zostaną wspólne plany działania. Ale gdzież tam! Ustalony zostaje wprawdzie protokół, ale pozostaje martwą literą, ponieważ wejście jego w życie uzależnione jest od podpisania układu politycznego, który zawarty został dopiero 4 września. Co więcej, gen. Kasprzycki miał upoważnienie od marsz. Śmigłego Rydza do zakomunikowania sztabowi francuskiemu polskiego planu operacyjnego. Jednakże francuscy szefowie wojskowi

„nie poruszyli sprawy i utrzymali rozmowy na płaszczyźnie tak ogólnikowej, że gen. Kasprzycki nie uważał za wskazane podjąć inicjatywy mówienia o planach operacyjnych. Tak więc — dodaje melancholijnie amb. Noël *— dwie armie, które były w przededniu walki ze wspólnym nieprzyjacielem pozostawały w całkowitej nieświadomości swych wzajemnych zamiarów, a ich szefowie nie odczuwali potrzeby przygotowania koordynacji swych planów“.*

Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe!

Jeśli chodzi o polityków francuskich, to ich stanowisko wobec sojuszu z Polską było nie tylko krytyczne, ale jeszcze w dodatku mocno zabarwione cynizmem.

Z godną uznania szczerością przyznaje się do tego sam Noël, przedstawiając swoje stanowisko, które można ująć krótko w sposób następujący: póki raczej wydawało się, że sojusz zagra na korzyść Francji, warto go utrzymać. Gdy musi raczej zagrać na korzyść Polski, staje się niewygodny. Punkt widzenia raczej samolubny, ale widocznie zdaniem p. Noëla egoizm narodowy jest uzasadniony.

Tak więc p. Noël jest zwolennikiem sojuszu do 1938 roku, czyli do Monachium. Pisząc o sytuacji w 1936, oświadcza wręcz:

„W tym okresie jeden zasadniczy wzgląd skłaniał mnie do tego, by być jego (t.j. sojuszu polsko-francuskiego) zwolennikiem. Polska utrzymywała wówczas takie stosunki z Niemcami, że konflikt pomiędzy nimi — jakiekolwiek było jego ryzyko, czy nawet pewność w przyszłości — był na pewien czas nieprawdopodobny. Kolej na Polskę jeszcze nie nadeszła i jeżeli między nią, a Francją miał zagrać c a s u s f o e d e r i s, to chwilowo, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, stałoby się to w interesie tej ostatniej: można było się obawiać, że wojna francusko-niemiecka wybuchnie z dnia na dzień jako mniej lub więcej bezpośrednia konsekwencja remilitaryzacji Nadrenii, z powodu Czechosłowacji, lub na tle spraw hiszpańskich... Sytuacja nie była już taka sama po Monachium“.

Po Monachium bowiem, jak p. Noël słusznie uważa, „przyszła kolej na Polskę“. Teraz c a s u s f o e d e r i s raczej grać będzie na korzyść Polski; już nie Polska Francji, lecz Francja Polsce będzie musiała pośpieszyć z pomocą. A w takim razie czas najwyższy sojusz rozluźnić i stworzyć możliwość uchylenia się od jego wykonania. Ambasador śle więc 25 października 1938 obszerny memoriał do ministra spraw zagr. Bonneta, w którym przedstawia zmienioną sytuację i domaga się odebrania sojuszowi charakteru automatycznego tak, aby Francja nie musiała wejść do wojny z chwilą, gdy Polska zostanie zaatakowana. Nie proponuje wprawdzie zerwania wszelkich więzów, gdyż — jak sądzi — pchnęłoby to Polskę w ramiona Niemiec, ale nawołuje do zastąpienia sojuszu paktem przyjaźni i konsultacji, uzupełnionym ograniczoną w zasięgu konwencją wojskową.

Stanowisko Noëla było wprawdzie cyniczne, ale przynajmniej miało tę dobrą stronę, że stwarzało jasną sytuację. Domagał się on, by Francja uczciwie powiedziała, że dochować sojuszu nie jest w stanie i by nie powtórzyła się historia z Czechosłowacją, której Francja do ostatka obiecywała pomoc, by się następnie od niej uchylić. Natomiast stanowisko ministra spraw zagranicznych Bonneta było wręcz nieuczciwe.

Bonnet bowiem chciał po prostu, by Francja sojusz z Polską zachowała, a nawet go rozbudowała, ale aby w ostatniej chwili wymigała się od jego wykonania. Noël opowiada, że gdy przyjechał do Paryża na jesieni 1938, aby nalegać na przyjęcie swych sugestii, p. Bonnet z miejsca usiłował mu wykazać, że układy z Polską zawierają

„luki wystarczające, by w każdym razie uchronić Francję od wojny“.

Bonnet sądził, że jeżeli nie uda się przy pomocy groźby wojny powszechnej powstrzymać Hitlera od uderzenia na Polskę to jakaś pomysłowa formułka pozwoli w ostatniej chwili uchylić się od wykonania najbardziej formalnych i jasnych zobowiązań. Cytuje też wywody zaufanego współpracownika Bonneta, Suareza, który twierdzi, że Bonnet spodziewał się

„w ostatniej minucie, w momencie najwyższego napięcia, zwołać konferencję“.

Monachijczyk Bonnet planował nowe Monachium.

Tak oto wyglądał stosunek miarodajnych czynników francuskich do sojuszu z Polską. Inaczej zgoła przedstawiała się polityka polska.

ALEKSANDER BREGMAN

Poradnik żołnierski

Tadeusz Lin.:

Komu, kiedy i na jakich warunkach będzie wypłacana odprawa demobilizacyjna dotychczas nie zostało przez Władze Brytyjskie ustalone, sprawa jest w toku rozważań. Nie mogę również odpowiedzieć Panu na pytanie, czy będzie Pan mógł być przyjęty do Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, choćby dlatego, że nie podaje Pan w swoim liście jaki jest Pana obecny stosunek do Polskich Sił Zbrojnych.

Bronisław Bar.:

Obawiam się, że na żadne z pytań, które Pan postawił w swoich listach z dnia 13.8.46 nie mogę Panu dać wyczerpującej odpowiedzi dla tej prostej przyczyny, że większość poruszanych przez Pana spraw nie jest zdecydowana. Należy się spodziewać, że na cały szereg pytań znalazł Pan odpowiedź w specjalnej oficjalnie wydanej przez władze brytyjskie broszurce o Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia; broszurka ta powinna była znaleźć się w rękach każdego żołnierza polskiego w pierwszych dniach września br.

Zaznaczam również, że stosownie do obowiązujących przepisów brytyjskich nie mogę Panu udzielać żadnych informacji względnie rad w jaki sposób może Pan dochodzić swoich pretensji w stosunku do władz brytyjskich czy polskich.

St. wachm. Chm. Józef:

Na terenie W. Brytanii działa parę firm prywatnych, które wysyłają paczki do Polski; firmy te stale ogłaszają się w dziennikach polskich i nie trudno będzie Panu uzyskać ich adresy. O ile Pan chce skorzystać z wysłania paczki *bezpłatnej*, może Pan skorzystać z dwóch dróg zwracając się bezpośrednio do: 1) Wydział Rodzin Wojskowych Szefostwa Służby Opieki Sztabu Głównego (38, Egerton Gardens, S.W.3), 2) Biuro Funduszów Społecznych i Darów Sztabu Głównego.

F. Mariak:

Aby uniknąć całego szeregu długotrwałych formalności związanych z otrzymaniem wizy do Argentyny, radzę, by Pan jednak starał się za pośrednictwem swoich znajomych o nadesłanie kopii dokumentów poprzednio posiadanych w Argentynie. W razie jakichkolwiek trudności proszę się zwrócić bezpośrednio do Konsulatu Argentyńskiego w Londynie. Adres: River Plate House, 12 South Place, E.C.2,

Idzie żołnierz borem lasem...

Przez zamglone od ciepła okna widać gołe gałęzie platanów. Tramwaj przesuwa się ze zgrzytem i szczękiem nieproporcjonalnym do szybkości. Nad oknami tramwaju wzdłuż krawędzi dachu duży napis: „*Dubo... Dubon... Dubonnet*“. Po przeciwnej stronie ulicy „Patisserie“. Mają tam nienadzwyczajne ciastka, ale dziewczyna, która je sprzedaje, wygląda bardzo zachęcająco i ma dla każdego obiecujący uśmiech.

Siedzimy w takiej sobie bezpretensjonalnej oberży, dojadając obiad za dziesięć franków. Najpierw były „*hors d'oeuvre*“ potem „*choucroûte*“ z kawałkiem kiełbasy, a teraz będzie mandarynka. Dopijając wino i dopalając papierosy, słuchamy Fugla, który właśnie tylko co przyjechał z Polski.

Kapitan Franciszek Fugiel*)... Widzę w myśli kelnera z kasyna oficerskiego 2-go pułku lotniczego w Krakowie, jak w białym tużurku i z serwetą trzymaną w rękach założonych do tyłu stoi w pozie wyczekującej nad Fuglem, Franio zaś badając nabożnie kartę potraw cedzi: „Uprzedzam, że jak będzie złe, to będę chodził na kolację do konkurencji“.

Frania znał cały Kraków. Punktualny jak zjawiska astronomiczne zjawiał się co wieczora o piątej w „Europejskiej“. Gdy miejsce jego świeciło pustką, było wiadomo: Franio ma służbę, albo jest chory. Wtedy przychodził sam szef kawiarni do stolika lotników i pytał kogoś: „Co się stało dziś panu kapitanowi Fuglowi?“.

Ale tamto było gdzieś bardzo dawno i bardzo daleko. Położyło się na to już tyle warstw. Rumunia, Jugosławia, Grecja. Położyło się tyle grozy, tyle niewypowiedzianych urazów. Tyle samotności, samotności coraz czarniejszej i coraz głębszej. Przepłynęło tyle ludzi, faktów, zdarzeń, że wszystko z przeszłości pod tym całym ciężarem zaczęło nabierać różu sentymentalnego kłamstwa. Było coś czy nie było? Któż to wie! Kraków i Wawel i hejnał z wieży Mariackiej i „Europejska“ i twarze bliskich, drogich osób (gdzie jesteście teraz?) — wszystko to jest takie mgławe, bolesno-słodkie i nierzeczywiste. Jest snem. Snem absurdalnym. Prawda jest tu. To wnętrze z otyłą, liczącą dwukrotnie każdego franka właścicielką. Ten bilard w przyległym pokoju z pozszywanym suknem, te ogłoszenia *aperitifów* „Pernod“ i „St. Raphaël“ na ścianach.

Jeżeli więc akceptuje się jako prawdę papierowe obrusy na stole, dym z „Gauloise'ów“ wiszący gorzko kwaśnym oparem pod sufitem i ten skrawek Lyonu przedostający się z trudem przez okna, to oczywiście tamto drugie z plantami w maju, z wiankami na Wiśle było nonsensem.

Ale nonsens wraca. Fugiel opuścił Kraków pierwszego marca. Dziś jest osiemnastego. Odpowiada teraz na dziesiątki i setki pytań. Głodne, żądne oczy leżą na nim jak chciwość. Jak chciwość, której nic nie nasyca. Fugiel jeszcze nie wszedł w nasz świat, jeszcze tkwi w tamtym. Jego głos donośny i dźwięczny dawniej, spadł teraz do ostrożnego szeptu. Oczy co chwila biegają od okna ku drzwiom — nawyk ostatnich kilku miesięcy.

Patrzę na grubą właścicielkę, która dała spokój dopraszaniu się o zwolnienie miejsc przez ciągłe pytania, czy nam obiad smakował i czy niczego więcej nie trzeba. Patrzę na żółte ściany, ustrojone w deseń granatowych i wiśniowych winogron. Skóry mandarynek z niedopałkami na talerzach w zielone obwódki. Warkot samolotu na zewnątrz. Cała trójkątna ściana przeciwległej kamienicy z jednym, ogromnym słowem: „Citroën“. Jakiś robotnik na rowerze z kołaczami chleba nanizanymi na kierownicę roweru. Znowu hałas tramwaju. Podparte tym hałasem, podkreślone lśnieniem szyb, za którymi chwieje i kiwa się natłok ludzki, płyną nad dachem cztery litery: „Coty“.

I tak oto w ten najbardziej rzeczywisty z najrzeczywistszych francuskich szarych dni z nieodłącznymi rekwizytami codzienności, wchodzi oddech Polski. Jest potwornie mocny. Tak mocny jak kolor krwi, jak obłędny ból, jak ostatnie słowo przed śmiercią. Rzeczywistość pierzcha. „Coty“ i „Dubonnet“ i otyła właścicielka restauracji, to wszystko majaki. Takie majaki przepływają przez głowę pomiędzy kolejnymi ocknięciami się ze snu. Rzeczywistość właściwa — to Polska. Pomyśleć, osiemnaście dni temu Fugiel był jeszcze tam. Gdy się dotknie jego ramienia, jest to tak jakby się dotykało Polski.

Fugiel próbował ucieczki dwukrotnie bez skutku. Gdy jechał do Zakopanego, by stamtąd przejść na Słowację, ostrzeżono go w drodze, że była grubsza wpadka i że Gestapo już od Nowego Targu wyławia pasażerów jak ryby z sieci. Drugi raz...

— Mieliśmy się zebrać o czwartej po południu na dworcu w Gorlicach. Czas był dobry. W styczniu o czwartej już się robi ciemnawo. Do ranka masz bitych piętnaście godzin. To już jest coś, od czego można zaczynać. Ale miałem pecha. Przewodnik był łasy na pieniądze. Nie chciał jucha przeprowadzać małych partii. „Jak się narażać, to już wiedzieć przynajmniej, za co się naraża“ — powiada. Zebrał coś ze dwudziestu kandydatów po 500 złotych od głowy. A ja se pomyślałem, że dwudziestu chłopa wyruszających nocą ze stacji w jednym kierunku, to jest coś, co nawet głupiemu może dać do pomyślenia. Więc że jako jestem ostrożny po aferze zakopiańskiej, przyjeżdżam do Gorlic dwa dni wcześniej. Reszta towarzystwa, wiem, że przyjedzie pociągiem z Krakowa właśnie przed czwartą. Jasio Mirecki śmieje się ze mnie: „Ty frajer! Boisz się Niemców gorzej niż diabłów“. Ja mu wtedy: „Śmiej się Jasiu, śmiej się, daj ci Boże szczęście“. Przychodzę na dworzec w Gorlicach ostrożnie od strony miasta w ostatniej chwili, prawie o czwartej. Przychodzę sobie jakby nigdy nic, a plecak i narty zostawiłem po drodze. Przychodzę i patrzę, a tu dworzec obstawiony wojskiem, przed dworcem trzy samochody ciężarowe, publika wieje naokoło i szepcze, że biorą naszych, bo mieli tu zbiórkę. Jasio Mirecki zamiast do Francji pojechał wprost na kwaterę Gestapo. Jakem wyruszał, to jeszcze siedział. —

Ostatni raz Fugiel wystartował na przekroczenie granicy przez góry gdzieś w okolicy Krynicy. Szli po nocach, śpiąc za dnia w szałasach. Kostnieli z zimna. Jeden z uczestników wykręcił sobie nogę w kostce, tak że ledwo mógł się wlec. Obniżało to szybkość całej wyprawy. Żyli cały czas na suchym prowiancie i herbacie. Wodę topili ze śniegu na składanej maszynce spirytusowej. Którejś nocy Fugiel zachorował na żołądek i osłabł tak, że ledwo się trzymał na nogach. Równocześnie przyszedł na niego straszliwy głód snu. Nie była to chęć snu, marzenie o śnie, lecz żarłoczny i wszystko wypełniający głód. Spać natychmiast, spać za każdą cenę bez względu na to co się stanie, spać na zawsze. Fugiel malował te przeżycia bardziej pełnymi barwami.

— Przede wszystkim masz uczucie, że żyjesz w nierzeczywistości. Wszystko stanęło dookoła. Nie ma życia i nie ma czasu. My jedni tworzymy czas. Góry pławią się w srebrnym pyle. Wydaje ci się, że w żyłach zamiast krwi masz powietrze. Głowa zamienia się w bryłę lodu. Nogi wrastają w śnieg. Przestajesz rozumieć siebie. Całe życie jest złudzeniem. Sam jesteś złudzeniem także. Wiesz, że gdy usiądziesz na śniegu i zaśniesz, złudzenie pierzchnie na zawsze. Gdybyś był sam, byłoby to właśnie pierwsze, co zrobiłbyś od razu. Ale przed tobą i za tobą postępują inni. Przynaglają. Klną. Gdy się potykasz i odmawiasz chęci dalszego marszu, wówczas ci idący z tyłu popychają cię brutalnie. To przywodzi na powrót chwilowe ocknienie się do życia. Drgasz. Pełzniesz dalej, marząc o spokoju i wiecznym bezruchu. —

Tak szli wycieńczeni i opadający z sił. Ktoś złamał nartę; w żaden sposób nie można było jej używać. Musiał iść piechotą, zapadając po pas, a często po szyję w śniegu. Sam nie uszedłby daleko w ten sposób, więc zmieniali się kolejno, tak że co godzinę, a potem co pół godziny jeden zdejmował narty i brnął na piechotę. Bywały odcinki, gdzie ani kroku nie można było postąpić, bo skorupa śniegu się rwała i wlatywało się do puchowej jamy, jak do studni. Będący wtedy na kolejce bez nart, musiał pełznąć na brzuchu. Niekiedy dwóch silniejszych przeciągało mu pod ramiona sznur, obwiązując końce sznura dookoła siebie. Gdy zjeżdżali z góry, to żeby nie tracić czasu, najlepiej jeżdżący na nartach brał na swe plecy najlżejszego. Inni turgali ich bagaże.

Pod koniec tej wędrówki stracili poczucie czasu. Kilku mówiło, że już idą tak piątą noc, inni przekonywali, że dopiero czwartą. Przewodnik pomylił drogę. Żywność była na ukończeniu. Człowiek z wywichniętą nogą ledwo mógł się ruszać. Okładał ją często śniegiem, lecz pomimo tego obrzękła mu w kostce. Gdy gwałcąc ból rozruszał się nieco, przestawał jęczeć, ale każde rozpoczęcie podróży było dla niego koszmarem. Ten człowiek musiał przeżywać potworne męki. Błagał, by go zostawiono samemu sobie; obiecywał iść śladem wyprawy. Inni jednak wiedzieli, że woli zamarznąć, niż dłużej się męczyć. Musiał więc iść dalej wydając przy każdym rozpoczęciu nowego etapu wędrówki niesamowite jęki i skomlenia.

Jak w końcu doszli do celu, Fugiel nie wie. Ostatnią noc przebrodził, trzymając się kija, którego drugi koniec trzymał ktoś idący równo i stale. Kto to był, Fugiel również nie wie. Szedł i spał. Nagle wszyscy się zatrzymali i powiedzieli, że już przyszli na miejsce. Pierwszą logiczną myślą, jaka się wyłuskała z tego faktu, było, że już nie trzeba więcej iść. Kilku wtedy od razu upadło na śnieg i już się więcej nie podniosło. Nikt i nic nie mógł ich rozbudzić ze snu, w który zapadli. Trzeba było ich przenieść do zabudowań o kilkanaście kroków. Fugiel wprawdzie nie upadł, ale pohamował się od tego z wielką trudnością.

Oczami Fugla widzimy Polskę. Polskę, gdzie Niemcy w metodyczny, naukowy sposób niszczą Polaków. Gdzie Polak nie może nic kupić w miastach, gdyż z powodu sztywnych cen i represji za ich nieprzestrzeganie ustał wszelki dowóz żywności. Sklepy żywnościowe mają tylko artykuły dla *Volksdeutschów*. W Krakowie pomnik Jagiełły rozwalony, Kościuszko z Wawelu zabrany, ołtarz Wita Stwosza wywieziony. Młodzież ze wsi jest wywożona na roboty do Rzeszy.

— Jest tu porucznik Z.? — pyta się Fugiel.

— Nawet w mojej eskadrze — odpowiadam.

— Przed wyjazdem widziałem się z jego narzeczoną. Została zaczepiona wieczorem przez niemieckiego oficera. Łamanym polskim językiem zaczął jej robić niedwuznaczne propozycje. Powiedziała: „Precz żołdaku!“. Wtedy wykręcił jej do tyłu ręce i wybił na ulicy po twarzy.

Czas jednak wyczerpuje tematy. Fugiel ma na sobie lichy spencerek, a jego podszyty wiatrem paltocik wisi na wieszaku przy oknie. My stanowimy kontrast. Piękne, nowe mundury połyskują srebrnymi guzikami z polskim orłem. Fugiel dotyka ich palcami.

— To już we Francji biją takie guziki! — Jego głos ma w sobie zdziwienie i radość. Oczy błyszczą miękko i rzewnie. — Polskie guziki!

Wstajemy od stołu. Gdy wyjdziemy na ulicę, będą się zapalały tu i tam gazowe światła w sklepach, a przesycone wilgocią powietrze zacznie się zwierać w opary nad miastem. Pomyślę, co za olbrzymia siła kieruje nami, siła, która prowadziła kapitana Franciszka Fugla przez góry i przeszkody, przez słabości i mrozy, pomimo Gestapo i niebezpieczeństw, aż doprowadziła go tu, gdzie mógł ze czcią i nabożeństwem dotknąć znowu polskiego orła.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

*) Zginął w wyprawie bombowej nad Niemcami w nocy z 25 na 26 luty 1942 r.

Skrzynka pocztowa

NIE ZAPOMINAJMY O SWYCH BRACIACH

Coraz gorsze wiadomości dochodzą do nas od Polaków w Niemczech. Wydaje się, że położenie ich jest obecnie gorsze nawet niż ludzi w Kraju. Czy wobec tego tutejsza nasza prasa nie za mało tym sprawom poświęca miejsca? Czy nie doznajemy obawy, że szczere, wszechstronne rozpatrywanie tych spraw doprowadzi nas do wniosków, które swoją wymową mogą zakłócić nasz senny bezruch na tej wyspie?

Bo przecież wśród nich jest wielu żołnierzy często dzielniejszych od nas, tylko jeszcze bardziej przez los wykiwanych. Na pewno nie jeden z nas odnajdzie tam jeszcze swoich krewnych lub kuzynów, o których dotychczas nie wie. Wszyscy zresztą są naszymi braćmi, będącymi w wielkiej potrzebie pod każdym względem a szczególnie pod względem żywności.

Z tym i tutaj jest najtrudniej, każdy to przyzna, nieprawdaż? Ale przyjrzyjmy się tej sprawie uważniej. Ubiegłe właśnie święta dostarczyły zdaje się nam wszystkim dowodów, że mamy czym pomóc. Nie wiem, jak te święta wyglądały w innych oddziałach (może koledzy zechcą napisać), ale wiem, że mój nie był wyjątkiem. Chodzi o wieczerzę wigilijną i posiłki w czasie dwóch dni świąt.

Przypuszczam, że Anglicy dali coś ponad przydział, ale wiadomo również że magazyny żywnościowe w wielu obozach, już na tydzień albo i wcześniej przed świętami, zaczęły odkładać na święta. Niewielu to zauważyło a ci machnęli ręką: „święta będą lepsze — a zresztą kantyna jest pod bokiem". Pomyślmy teraz o tym, kiedy te zaoszczędzone ilości mięsa, tłuszczów i słodyczy zjedliśmy, choć nie zawsze z pożytkiem dla zdrowia. Trochę nawet wyrzuciło się...

Czy jesteśmy zadowoleni z siebie?

Przypuszczam, że wielu spośród nas wybrałoby zwykłą wieczerzę, lecz uświetnioną opłatkiem — i tym przeświadczeniem, że dzięki nam rodacy nasi w Niemczech mają może choć w przybliżeniu podobną wigilię do naszej. Może i Temu Dzieciątku, na którego cześć te święta przecież święciliśmy, bylibyśmy przez to milsi?

Nawaliliśmy, nie ma dwóch zdań. Ale nie tyle chyba prosty żołnierz, ile ci, którzy w ten sposób chcą go uszczęśliwiać. Może by tak skończyć z traktowaniem nas, jak zwierzątek, którym sypie się do żłobka. Może lepiej było nas się spytać, jak my sobie życzymy, aby nasza wigilia wyglądała.

Czy nie czas stworzyć wśród nas organizację, któraby miała za cel niesienie pomocy Polakom w Niemczech?

Strumień paczek, płynący stąd do Polski też jest dowodem naszych możliwości. Nie wszyscy zresztą wysyłają — z różnych względów.

A więc bądźmy szczerzy — możliwości pomocy mamy, brak nam tylko chęci. Czy nie ma się komu tym zająć?

Nie wolno nam też zapominać o ich potrzebach duchowych, tym bardziej, że nasi alianci czasu wojny likwidują tamtejsze polskie pisma i placówki kulturalne.

Na początku czyż nie można by zorganizować regularnej zbiórki i wysyłki przeczytanych tygodników? A książki! Mamy ich sporo, ale czy czytamy je?

Jak bardzo prawdziwe jest powiedzenie, że syty głodnego nie rozumie.

Wyrzekamy na obcych, że opuszczają tych nieszczęśliwych. A cóż my — bracia?

STANISŁAW TOR

POLSKI RUCH WOLNOŚCIOWY
NIEPODLEGŁOŚĆ I DEMOKRACJA
organizuje w Edynburgu
Sala Y.M.C.A., St. Andrew St.
w środę 12 lutego 1947 o g. 7.30 w.
ZEBRANIE PUBLICZNE
p.t.
„PO WYBORACH"
przemawiać będą:
STEFAN GACKI (redaktor „Trybuny")
JERZY JUR LERSKI
przewodniczyć będzie:
TYMON TERLECKI
Wstęp wolny.

SPIS RZECZY

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Kto wie co byłbym Wam dziś powiedział w pierwszych słowach mojej oracji, gdyby nie gest, wspaniałomyślny gest Stalina, który postanowił rozgrzeszyć Bevina za to, że „Prawda" napadła na rząd brytyjski. „Prawda" w oczy kole — a czasem i gdzie indziej. Kole jak trzeba...

Oddychajcie z ulgą! Już po konflikcie sowiecko-brytyjskim! Nie ma żadnego niebezpieczeństwa! Nawet Smertenko nie zagraża tej wyspie, bo jak przyleciał — tak wyleciał. Dostał „cup of tea" w komisariacie policyjnym — i już go nie było!

Można powiedzieć: sytuacja jest „O.K."! Czytaj: Okropnie Kłopotliwa. Kto wie co by było, gdyby nie „Monty", który przebrał się w białe futro niedźwiedzie — i poleciał na czerwoną wizytę. Kto wie!

„Monty" — biedak musiał wyuczyć się dwóch słów w „ichnim" narzeczu: „Dobryj deń!" W dodatkach filmowych aktualności słyszeliśmy te dwa słowa przed mikrofonem. Szkoda, że się nas nie poradził: wybór dwóch słów po rosyjsku jest olbrzymi!

Montgomery przemawiał na lotnisku rosyjskim na tle czterech sowieckich postaci wojskowych, z których trzy były ponure i zatrwożone a czwarta w binoklach na krzywym nosie tłumaczyła szeptem do ucha trzem każde słowo brytyjskiego wodza. Z „faszystami" lepiej uważać! Na wszelki wypadek... Gdzieś na pewno w krzakach czuwał wierny tajniak, żeby w razie potrzeby przerwać transmisję z lotniska „z powodów technicznych".

„O.K."! Obywatele — „O.K."! „O.K."! — Okropnie Kłopotliwe albo Ofiary Kombinacji — jak wolicie.

Jest jedna rzecz, która Was na pewno zastanawia, mili demokraci: dlaczego w poniedziałek „Prawda" przekręca prawdziwy tekst Bevina; czemu na drugi dzień Bevin ostro protestuje i posyła notę; dlaczego w środę, w czwartek i w piątek „Prawda" milczy jak zaklęta; czemu w sobotę „Prawda" atakuje jeszcze mocniej Bevina, a w niedzielę samo „Słońce Narodów" z Kremla stwierdza, że nie ma trwalszej rzeczy na świecie ponad przyjaźń radziecko-brytyjską! W tym samym dniu nadworni dziennikarze fotografują „Słońce" z wyciągniętą do zgody dłonią... Dłoń ta ofiarowuje przyjaźń jak spiż! „Spiż" — od spać... Czyli jak śpisz — to prawdy nie chcesz!

Nawet każde dziecko w Hyde Parku wie dobrze, dlaczego tak wyglądały a nie inaczej ostatnie polityczne tygodnie. „Wybory" w demokratycznej Polsce, opozycja w kryminale, kryminał w rządzie, auta ciężarowe z wyborcami, „zwycięstwo" ciężarowe z wyborcami, „trójki" w głosowaniu — oto tajemnice.

„Hajda trojka!" rozkazał Batiuszka a posłuszny woźnica Bierut zaciął batogiem trójkę wałachów politycznych: „Osóbka — Gomułka — Spychalski"! W sowieckich chomątach „trójka" biegła do urny depcząc kopytami każdy odruch polskiej prawdy politycznej.

Nie wiem, czy znacie moi mili demokraci ulicznego harfiarza londyńskiego, który kiedyś dawno grywał pod „Rubensem" a potem wędrował za Polakami po całym Londynie. Obecnie gra on pod „Interim Treasury"... Można powiedzieć, że to był jedyny Anglik, który „zagrał" na Polaków.

Ten harfiarz — to niewątpliwie człowiek praktyczny i sprytny. Pod „Rubensem" w bardzo wczesnych początkach grywał „Warszawiankę". Potem ktoś dobrze zorientowany podszepnął mu w odpowiednim momencie „My Pierwsza Brygada"... Z chwilą przeniesienia biur Sztabu na Hammersmith — harfiarz grał te same melodie na zmianę — zależnie od zbliżających się gości — a szelma orientował się lepiej od biura personalnego! Na Ashley Gardens — z chwilą przybycia II-go Korpusu — zaintonował „Tysiąc Walecznych"... a starym klientom ze Sztabu podgrywał: „Za rok, za dzień, za chwilę — razem nie będzie nas!" — Gdy na Egerton Gardens zaczęła się reorganizacja i ustalanie etatów — harfiarz od razu przeszedł na melodię kolędową: „Do żłóbka już pasterze"...

A teraz? — Teraz siedzi on w okolicach „Interim Treasury" i co chwila zmienia piosenki... Oko ma bystre, decyzje szybkie: żołnierzom A.K. gra: „O Borze, któryś jest na niebie"... Andersowcom — piosenkę o kaszta-nie; urzędnikom „Interim" — „Zróbmy przyjacielskie koło"...

Tak, tak — moi mili demokraci. Taki sam harfiarz, ale „międzynarodowy", siedzi na stolcu kremlowskim i dobiera aktualne melodie — zależnie od nadchodzących zdarzeń...

Nadszedł Bevin — zagrał mu ostro; przyszedł „Monty" — zaśpiewał mu słodko; przyszły wybory w Polsce — groźnie szarpnął strunami; minęły wybory — zaintonował usypiającą kołysankę — ale Wielkiej Brytanii!

Żegnam Was aktualnym zawołaniem: „Strzeżcie się harfiarzy!" „Hajda trojka!" „Precz Smertenko!"

Do usłyszenia za tydzień, na tym samym miejscu, o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

Fraszki

RECEPTA

Żadna z tych zachodnich nacji
nie zna się na demokracji.

Patrzcie ino: w Anglii, w USA.
ciągle strajki w autobusach;

tarcia, ferment, krótkie spięcie,
i — dyskusje w parlamencie!!!

W parlamencie, czy w kongresie,
kto chce — gada. Kto chce — drze się.
. . . .
U nas — chodzą autobusy
i radzi się — bez dyskusyj.

Telefony sprawnie dzwonią,
a jak nie — to w mordę.
„Poniał"?

Ot — i sedno demokracji!
Uczcież się, zachodnie nacje...

KRÓTKA LECZ DZIWNA ROZMOWA W WARSZAWIE

„Chciałbym kupić wolność słowa..."
„— Hm...to zagraniczny towar..."
„Głupstwo. Cena?"
„Pańska głowa".

ZŁY SEN ŻYMIERSKIEGO

Ech, towariszcz, miałem sen zły!
Brr...
Opowiem w sposób zwięzły:
Śniło mi się — sen cholerski! —
że nazywam się — Anderski.

PIPMAN

FIORELLO

La Guardia wspiął się wyżej i na palce stanął,
Włoszka mu na kolanach podała „Cinzano",
Tłumy stały w milczeniu i z głową odkrytą,
Myśląc: Wielki La Guardia, albo.... Mały Tito.

„Będę was karmił dłużej i beefem i milkiem,
Tylko... Rosja jest owcą...wy w obozach — wilkiem!"
Powiedział. Zdjął kapelusz — błysnął głowy melon,
Tłum zaś szeptał nabożnie...Fiorello... Fiorello!

Milczał. Ręce skrzyżował. Dodał z miną pana:
„A że szpiedzy w obozach — to Fata Morgana.
Gdy Morgana spławimy i Faty nie będzie...
Żegnam. Muszę pojechać w ogóle i wszędzie".

PETER PAN

Stanisława BIELAKOWA, Krynica-Zdrój, Willa Kościuszko, poszukuje męża Józefa BIELAKA, kapitana W.P. i 2 synów Adama i Tadeusza, poruczników W.P. w Armii Kościuszkowskiej.

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices): 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 6d. za słowo, dwukrotne 9d. za słowo, trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 4d., dwukrotne 6d., trzykrotne 8d. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600.